

W okresie okupacji ukończyłem szkołę podstawową w Radzyminie i zacząłem uczęszczać do Gimnazjum Mechanicznego im. M. Konarskiego w Warszawie. Dojeżdżając codziennie do szkoły kolejką z Jurkiem Ostaszewskim i innymi kolegami zorganizowaliśmy w listopadzie 1942r. 6-cio osobową tajną organizację konspiracyjną. Sekcja nasza nawiązała kontakt z organizacją podziemną Armią Krajową za pośrednictwem Janka Tokarskiego. W marcu 1943r. całą naszą sekcję wcielono do 434 plutonu pod dowództwem pchr. "Gryfa" zgrupowanie pułkownika "Grzymały" Sokołowskiego na Ochocie. Dowódcą drużyny był "Arymon". W okresie tym przechodziliśmy szkolenia w zakresie zapoznawania się z bronią oraz ćwiczenia wojskowe w lasach - nieraz w okolicach Radzymina. W czasie szkolenia z bronią uczestniczyli zwykle policjanci granatowi. Na kilka miesięcy przed wybuchem powstania warszawskiego przechodziliśmy intensywne szkolenia w zakresie walk ulicznych. Pluton nasz w momencie wybuchu powstania miał atakować "Dom Akademika" na placu Narutowicza. Dotychczas wykorzystywani byliśmy przeważnie do kolportowania prasy konspiracyjnej i przenoszenia broni. Gdy 27 lipca 1944r. wieczorem Dowództwo AK. zarządziło alarm - Okręg nasz znalazł się w stanie ostrego pogotowia, 28 lipca rano przyjechał łącznik do Radzymina i już o godz. 11 byliśmy w komplecie na miejscu zbiórki w Warszawie. Mieliśmy przy sobie opatrunki i opaski białe i czerwone z napisem AK. oczekując na dalsze rozkazy. Po kilku godzinach oczekiwania - po południu - Dowództwo AK odwołało ostre pogotowie - podobno sytuacja na froncie nie stwarzała podstaw do rozpoczęcia powstania. Przed wieczorem otrzymaliśmy rozkaz powrotu do miejsc zamieszkania z poleceniem oczekiwania na dalsze rozkazy. Gdy 31 lipca o godz. 18 została podjęta druga decyzja o rozpoczęciu powstania 1 sierpnia o godz. 17 - wysłany łącznik z Warszawy nie dotarł już do Radzymina, gdyż miał odciętą drogę w Markach, ponieważ 1-go sierpnia o świcie do Radzymina wkroczyły niespodziewanie czołgi sowieckie. W Markach łącznik dotarł jedynie do naszego kolegi Jurka Sieja. Jurak zdążył dojechać na Ochotę i wziął udział w powstaniu. My zaś drogę do Warszawy mieliśmy zamkniętą. W dniu wkroczenia jednostek pancernych do Radzymina sekcja nasza straciła jednego kolegę Zdziśka Młoduchowskiego, który jadąc na czołgu radzieckim w kierunku Woli Rasztowskiej zobaczył uciekającego oficera niemieckiego, zeskoczył z czołgu i zaczął za nim biec. Zdziśiek nie miał broni, chciał ją zdobyć od uciekającego Niemca, który niespodziewanie - nie strzelił - Zdziśiek trafiony kulą zginął na miejscu. Za trzy dni ponownie wkroczyły do Radzymina wojska niemieckie. rozbijając sowieckie czołgi. Niemcy zajęli Radzymin w pierwszych dniach sierpnia nacierając z kierunku Modlina. Taki stan trwał do końca sierpnia, po czym nastąpił powolny napór wojsk radzieckich spychając Niemców w kierunku Warszawy. Gdy wojska radzieckie podeszły pod Radzymin - Niemcy wydali rozkaz, aby wszyscy mężczyźni w wieku od 16 lat zgłosili się o godz. 10 rano na placu Kościuszki w Radzyminie, podając, że niestawienie będzie karane śmiercią. Ojciec mój podejmuje wówczas bardzo niebezpieczną decyzję - przedostanie się przez linię frontu do Sowietów. Znał doskonale język rosyjski a ja zaś słabo niemiecki. Ojciec pośpiesznie zorganizował wyprawę i o świcie ruszyliśmy przez lasy w kierunku Modlina przez Rudę i Zaubice. Wyruszyliśmy we czwórkę: Ojciec, ja, Jurek Majewski i ciotka Wanda. Dla pozorów prowadziliśmy krowę. Ogarnęła nas straszna trwoga gdy weszliśmy do lasu i zorientowaliśmy się, że znajdujemy się wśród zamaskowanych żołnierzy niemieckich i sprzętu.

Sytuacja wprost nieprawdopodobna i niebezpieczna - Niemcy nas wielokrotnie zatrzymują i pytają - Wohin geht ihr, my zaś dla pozorów nieustannie ich pozdrawiamy - Guten Morgen. Wir gehen nach Modlin. Jest kilka momentów, że Niemcy zastanawiają się co z nami zrobić - jednak pozwalają iść dalej. Gdy znaleźliśmy się na ostatniej linii okopów sytuacja stała się już bardzo niebezpieczna. Żołnierze z okopów nas zawracają, wołają "Halt zurück" a my ich tylko pozdrawiamy. Guten Morgen. Gdy byliśmy już na skraju lasu i wychodziliśmy z ostatnich okopów w kierunku Łąki - niespodziewanie nadleciał samolot sowiecki na bardzo niskim pułapie, zataczając kilkadziesiąt okrążeń nad naszymi głowami - odwróciło to uwagę Niemców i o nas chyba uratowało. Za ostatnią linią okopów w lesie ciągnęła się otwarta przesłazka - Łąka, która oddzielała drogą część lasu na odległość ok. 1km. w którym był już przyczółek sowiecki. Po zetknięciu się z czołową wojsk sowieckich ojciec mój wymienił z nimi kilka uwag i wówczas pozwolili iść w kierunku Trojan. Upłynęło niespełna 20-30 minut, gdy rozpoczęła się straszna kanonada. Sądziłem, że wreszcie jesteśmy na wyzwolonym skrawku ojczyznej ziemi. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że przyjdzie nam poznać gorzkość tej wolności. Na drugi dzień rano zostałem zatrzymany w Trojanach przez NKWDzistę i osadzono mnie w okratowanym pomieszczeniu. Za kilka godzin widziałem jak prowadzi NKWDzista mojego ojca, którego po kilku godzinach zwolnili. Ja zaś byłem poddawany uciążliwym przesłuchaniom - wymuszano na mnie przyznanie się do AK. Przesłuchania te trwały cały dzień z niewielkimi przerwami. W trakcie jednej przerwy, wieczorem, gdy NKWDziści spożywali posiłek - zbiegłem przez uchylone drzwi. Po kilku dniach byłem już w Radszyminie, gdzie musiałem się ukrywać.

Różnie ułożyły się losy moich kolegów z sekcji.

- Zdzisiek Mioduchowski zginął.
- Ja zaś zostałem zesłany na katorgi do obozu NKWD.
- Jurek Sieja po wyzwoleniu był sądzony za przynależność do AK. i otrzymał kilkuletni wyrok - siedziak 5 lat w więzieniu.
- Jurek Ostaszewski, Czesiek Przepiórkowski i Tadeusz Mioduchowski zgłosili się do wojska.

Zbigniew Komacki

Młoci

Aresztowano mnie ponownie w październiku 1944r. w Radzyminie. W dniu tym do naszego domu przyszedł po raz drugi żołnierz NKWD z pistoletem maszynowym pod peleryną. Po ustaleniu mojej tożsamości zaprowadził mnie do komendy masta celem sprawdzenia moich dokumentów. W trakcie przesłuchania oficer NKWD zażądał ode mnie oddania broni, oraz przystawiając mi pistolet do głowy żądał złożenia oświadczenia o przynależności do AK.

Przesłuchania te trwały, z niewielkimi przerwami całą noc, w czasie których musiałem powtarzać swój życiorys. Do przynależności do AK. nie przyznałem się. W trakcie zeznań był moment, w którym mogłem spojrzeć na listę zawierającą znane mi nazwiska osób, którym zawdzięczać należy liczne w tym czasie aresztowania członków AK i innych ugrupowań przez NKWD. Podobno kolaborujący z NKWD już w okresie okupacji przygotowali listy członków AK. i innych ugrupowań na użytek władz sowieckich.

Na drugi dzień rano zostaliśmy wyprowadzeni pod konwojem - było nas ok. 20 osób do oczekującego koło cmentarza w Radzyminie samochodu. Wówczas ujrzałem swoją matkę i siostrę żegnające mnie krzami rozpacz. Wsiadliśmy do samochodu i odjechaliśmy w kierunku Wyszki. Po przejechaniu ok. 7 km. za Wola Rasztowska samochód zatrzymał się dalej poszliśmy pieszo w kierunku Tuszczu. Konwojści twierdzili, że prowadzą nas do punktu rekrutacyjnego, gdzie mamy być wcieleni do wojska. Była możliwość ucieczki, ale nie skorzystałem z okazji, z myślą o wstąpieniu do wojska, o którym tak marzyłem. W Tuszczu zamknęli nas w olbrzymiej murowanej hali z oknami zakratowanymi. Spaliśmy na betonowej podłodze, na słomie. Spędziliśmy tak kilka dni chodząc na uciążliwe przesłuchania. W baraku było nas około 250 osób w wieku od 14-60 lat. Ogarniały nas mieszane uczucia, ale najgorsze przyszło zupełnie z nieoczekiwanej strony. Zmęczonych, śpiących nagle w środku nocy zbudził krzyk, w naszym pomieszczeniu wybuch pożar, paliła się gwałtownie szopa, na której leżeliśmy. Wyrwani ze snu - rzuciliśmy się na okratowane okna i drzwi, ale bezskutecznie. Wartownik zamknął drzwi i strzelał na alarm. Mieliśmy odciętą drogę. Drzwi otworzył dopiero po otoczeniu budynku przez NKWD. Niektórzy byli śmiertelnie poparzeni, inni ciężko. Otoczeni silnym kordonem NKWD zostaliśmy poprowadzeni w nieznanym kierunku. Nad ranem, w lesie w Ostrówku koło Kłembowa wpędzili nas do ziemianek. Bardzo zmęczeni zasnęliśmy. Jednak w krótkim czasie zaprowadzili nas na przesłuchanie, które trwało kilka godzin z niewielkimi przerwami. Miało ono na celu wymuszenie przyznania się do AK. Mniej wytrwali - przyznawali się. Na przesłuchaniach upłynęło kilka dni. Jest 11 listopada 1944r. dostaliśmy po 100g. alkoholu, jednak nie wszyscy pili, ja również nie.

Tego dnia wieczorem padł rozkaz wsiadania do samochodów ciężarowych i stłoczeni, bez prawa porozumiewania się bardzo późnym wieczorem dojechaliśmy do Sokokowa, do punktu zbiorczego przy torach kolejowych.

W Sokokowie przy torach kolejowych w byłych magazynach mieścił się punkt zborny więźniów z różnych terenów Polski. Magazyny znajdowały się na terenie otoczonym drutem kolczastym, bez podłogi - była goła ziemia. W dniu naszego przyjazdu było nas już około kilka tysięcy. Cała dotychczasowa podróż i to miejsce zbiórki utwierdziło nas w przekonaniu, że jedziemy do ZSRR. i nie w celu rekrutacji do wojska.

Na drugi dzień po szczegółowej rewizji staliśmy kilkanaście godzin na deszczu ze śniegiem - oczekując na wezwanie. Wieczorem po usłyszeniu swego nazwiska i imienia ojca zgłósiłem się szybko do przegrody i przez furtkę przepuścili mnie do drugiej części baraku przy torach. Wówczas grupami sprowadzano nas na teren kolejowy i ku naszemu przerażeniu, rewidowano i brutalnie, w nieskromnym tempie, ładowano nas do wagonów po węglu, zabierając jedzącym resztki chleba. Droga do wagonów była obstawiona przez NKWD z bronią gotową do strzaku. Na wagonach widać było poustawiane karabiny maszynowe, a wzdłuż pociągu rozwinięto przewody telefoniczne. Późnym wieczorem wszystkie wagony zostały zamknięte. W wagonach umieszczono po 50-60 osób, zamknięto i plombowano na zewnątrz. Miał zakratowany otwór w ścianie zastępując okno, dziura w podłodze - sanitarne urządzenia. Minęło kilka godzin zanim pociąg ruszył. Na zewnątrz widzieliśmy niewiele, tyle co przez szpary. Stwierdziliśmy jednak, że jedziemy w kierunku ZSRR.

Dla ratowania życia - podjęliśmy próbę ucieczki. Ucieczkę organizował jeden z uczestników powstania warszawskiego z desantu zachodniego, który przy końcu września przeprawił się na drugi brzeg Wisły aby szukać oparcia w tzw. Armii Berlinga - niestety został aresztowany przez NKWD. Zaczęliśmy na zmianę mocować się z kratą okienną i wycinać nożem deski w podłodze wagonu.

Po kilku godzinach jazdy usłyszeliśmy strzały, gdyż z innych wagonów ludzie zaczęli wcześniej wyskakiwać.

Pociąg zatrzymano, a światła reflektorów skierowano w stronę uciekających strzelając do nich z karabinów maszynowych. Byli zabici i ranni. Po sprawdzeniu wszystkich wagonów - pociąg ruszył. Jednak po drodze padały często strzały a rakiety oświetlały teren. Do uciekinierzy z pociągu wyskakowali przez wyważone drzwi lub rzucali się wzdłuż torów pędzącego pociągu. Zatrzymano pociąg, słyszeliśmy bieganie wzdłuż torów i po dachach wagonów oraz prośby o darowanie życia i strzały. W pewnym momencie drzwi naszego wagonu zostały odryglowane i padł rozkaz oficera NKWD, aby dwie osoby wysiadły z wagonu. Ogarnął nas strach. Nikt nie chciał wyjść w obawie przed rozstrzelaniem. Wówczas konwojenci wyciągnęli przemocą stojące najbliższe dwie osoby. Okazało się, że ludzie ci byli potrzebni do przeniesienia zabitego uciekiniera z naszego wagonu. Stan liczebny w wagonie musiał się zgodzać.

Pociąg często stawał - były strzały i ofiary.

Po przekroczeniu dawnych granic Rzeczypospolitej jechaliśmy trasą przez Orszę, Smoleńsk, Wielkie Łuki, Ostaszów, Białogóje aż do Borowicz. Trzeciego czy czwartego dnia zatrzymali pociąg koło jeziora, aby dać nam pierwszy i ostatni posiłek. Do każdego wagonu dostarczyli wprost z jeziora po dwa wiadra wody i po dwa kawałki sucharów czarnych na osobę. Sytuacja stała się beznadziejna. Jechaliśmy dalej stłoczeni, głodni i konający z pragnienia. Schły nam gardła i języki. Błagaliśmy o wodę, ale bezskutecznie. Dokuczał nam straszny głód, pragnienie i zimno. Podróż ta była tylko wstępem do dalszych cierpień. Twarze nasze były pokryte pyłem węglowym do tego stopnia, że nie mogliśmy się rozpoznać. Tak minęliśmy Orszę. Były dalsze próby ucieczki, ale bezskuteczne. Po dwóch tygodniach dramatycznej jazdy pociąg zatrzymał się w polu na bocznych torach koło Borowicz. Był duży mróz i pełno śniegu wokół. Wysiedliśmy z pociągu. Ponad tysięczna rzesza wygłodzonych i wycieńczonych ludzi rzuciła się na ziemię i jadła kępczywie leżący wokół śnieg. Po chwili znikł on a ziemia stała się czarna.

W pewnym momencie na rozkaz z pokrzykiwaniem uformowała się długa kolumna wynędzniałych ludzi i ruszyła piątkami w drogę nieznaną otoczoną żołnierzami z najeżonymi bagnietami. Wygłodzeni i przemartwieni maszerowaliśmy chwiejnym krokiem kilka godzin przez niezamiaty tereny. Jedyne od czasu do czasu widać było obozy otoczone kilkoma rzędami drutów.

Wreszcie skończył się trud męczącej drogi i znaleźliśmy się przed bramą w jednym z obozów podobnych do mijanych przez nas po drodze. W obozie tym była dość liczna grupa jeńców niemieckich. Przed bramą obozową staliśmy na mrozie kilka godzin, zanim doszli ci którzy są na końcu długiej kolumny ok. 2km. Gdy wszyscy doszli do bramy obozu ustawieni w piątki - na końcu długiej kolumny ułożono zabitych, zmarłych i rannych.

Liczono ponownie wszystkich - żywych, zabitych i zmarłych. Trąco to dość długo aż zrobiło się zupełnie ciemno. Zmarłymi i zabitymi są jeńcy niemieccy, których zakadowali na sanie /po ściągnięciu ubrań/ i wywieźli za obóz aby zakopać. Do obozu doprowadzono przez 1000 osób żywych.

Szepietowo/Szybałów/ taką nazwę miał obóz. Obóz otoczony był pięcioma rzędami z drutu kolczastego. Na wszystkich rogach znajdowały się wieże wartownicze wyposażone w reflektory. Za obozem bezgraniczne pustkowia i śnieg. Obóz był położony ok. 14km. od miasta Borowicze i ok. 6 km. od rzeki Nasty.

Tak rozpoczął się dalszy etap naszej tragedii. Nastąpiły dni strasznego głodu, zimna i poniewierki. Od kilku tygodni nie miałem w ustach ciepłej strawy. Ostatnia nadzieja pozostała w Bogu, w wolnych chwilach modliłem się o przetrwanie. Było bardzo mroźno. Drewniane i nie ogrzane baraki z pryzkami nie wróżyły nic dobrego. W dalszym ciągu nie otrzymaliśmy posiłku ani wody. Pożnym wieczorem wyszliśmy dwa w parę z beczkami do pobliskiego jeziora ok. 3km. od obozu. Uczestniczyłem i ja w pchaniu wozu/dało mi to możliwość napięcia się wody z jeziora. Gdy spragniony i głodny tłumobaczyłem ciągnięte przez nas beczki wodą - rzuciłem się na nie, przewracając je razem z wozem, na którym były umieszczone. W tej sytuacji można było napić się wody tylko wprost z ziemi - jeszcze przed jej zamrożeniem. Dalsze próby dostarczenia wody z jeziora do kuchni kończyły się tym samym skutkiem. Ludzie byli głodni i spragnieni. Zapadła noc. Łupę wodną otrzymaliśmy dopiero nad ranem. Był również problem z naczyniami na parzenie. udało mi się znaleźć na drodze pogiętą i zarzewiałą puszkę, którą naprawiłem i służyła mi za garnuszek na posiłki przez sześć miesięcy. Taką puszkę z dorobionym do niej kabłąkiem z drutu każdy z nas nosił stale przy sobie.

Umieszczono nas w barakach, gdzie były trzy rzędy pryzek piętrowych do których wciągnięto ok. 300 ludzi. Po kilku tygodniach przeniesiono nas na dolną pryzkę, gdyż nie miałem siły wdrapać się wyżej. Leżeliśmy na gołych deskach - bez sienników i jakiegokolwiek okrycia - jak psy. Gdy podczas snu ktoś chciał się przekreślić na drugi bok, to musieli jednocześnie przekreślić się wszyscy leżący w tym rzędzie. Spaliśmy na twardych i mocno zapluskwionych pryzkach, dokuczali nam w szybciej roznoszące się niż zdążyliśmy je wyłuskać. Nie mieliśmy bielizny i nie myliśmy się. Dni mijały - z wszami, pluskwami i szczurami zaprzyjaźniliśmy się na dobre. Za ubikację służył nam głęboki doł, bez dachu, do którego często wpadali co słabsi.

Do końca 1944r. wykonywaliśmy różne prace na szesnastym obozie, bez rękawic i ciepłej odzieży, na mrozie przez 10-12 godz. - kopalismy doły mając do dyspozycji kilofy i szpadle.

Pewnego razu przy takim kopaniu dołów opadłem z siły, przed oczami zaczęły mi krążyć czarne plątki i w pewnym momencie upadłem na ziemię i zacząłem marznąć, ogarnęła mnie taka apatia, że przestałem reagować na bodźce zewnętrzne i było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Co silniejsi koledzy zaczęli mnie ruszać i nacierać śniegiem, ratując mi w ten sposób życie.

W grudniu 1944r. przybył do naszego obozu następny transport ok. 500 Polaków z Polski. W tym czasie uciekło z obozu 2 ludzi i po trzech dniach przywieziono ich martwych/zabitych/do obozu. Uciekinierzy nie zdawali sobie sprawy, że bez jedzenia i ludzkiej pomocy daleko nie zjadą.

W wigilię Bożego Narodzenia byłem uszczęśliwiony udało mi się zdobyć w drodze do pracy/ukraść z furmanki/ dwa buraki pastewne-zapiaszczone, które błaskawicznie zjadłem, aby ich nie stracić. W dniu tym późnym wieczorem apel jak zwykle każdego dnia. Stoimy na zbiorce przed barakiem, mróz duży i nie wolno rozchodzić się. Apel przedłużono celowo ok. 2-3 godzin. Skutki były dotkliwe - odmrożenia znaczne.

Był 17 stycznia 1945r. siarczysty mróz -maszerujemy do pracy. Konwojenci mówili o wyzwoleniu Warszawy. Pomyślałem wówczas o swoich najbliższych. Byłem coraz bardziej osłabiony. Nogi miałem jak z waty i z dużym wysiłkiem wchodziłem do baraku, gdzie trzeba było pokonać cztery stopnie schodów. Posiłki głodowe otrzymywaliśmy trzy razy dziennie, po 1/2 litra zupy wodnistej-słonej i kawałek czarnego chleba wielkości dwóch pudełek zapalek. Rano niekiedy płaską łyżeczkę cukru przez okres ok. czterech miesięcy. Chleb był jak glina - niewypieczony, ale za to kwaśny.

W lutym 1945r. zarządzono apel podczas którego padło polecenie przygotowanie dużej części obozu do wymarszu. Lecz nikt nie wiedział dokąd idziemy-większość twierdziła, że do kraju, otrzymaliśmy nawet leprzy posiłek na drogę.

Można sobie wyobrazić jakie było uczucie, gdy doprowadzono nas do bramy drugiego obozu tzw. Schftlagier/obóz szachtowy/grupował więźniów pracujących w kopalniach. Nastąpił dalszy ponury zakręt losu. Okres nędzy i większego cierpienia. Zrozumiałem wówczas, że jestem skazany na zagładę i już nie wrócę do kraju. Z tym trzeba się pogodzić. Ale po kilku dniach ponownie odzyskałem utraconą

równowagę. Nastąpił okres o wiele cięższej pracy niż poprzedni, zostałem przydzielony do tzw. kompanii mechanicznej przy kopalni węgla. Pracowałem w ciągłym systemie dwuzmianowym - po dwanaście godzin dziennie, a co dziesiąty dzień był wolny od pracy dla jednego z nas. Na rękawie odzieży zewnętrznej wycieli nam kwadrat 10x10cm. i naszyli żółte płótno z napisem "wojenno-plenny"

Do pracy ustawialiśmy się zawsze przed barakami i na sygnał maszerowaliśmy w kierunku bramy. W bramie stał oficer dyżurny NKWD. Po wywołaniu, przeliczeniu i zanotowaniu odpowiedniej kompanii roboczej wychodziliśmy za bramę. Tam brali nas w swoją opiekę konwojenci NKWD. Z przodu i z tyłu szli trzymając karabiny z bagnietami jak do ataku w pozycji poziomej. Po wymarszu ludzi do pracy rano, zarządzano apel dla tych, którzy byli na terenie obozu po przyjeździe z pracy i pozostałych. Wówczas ustawialiśmy się wszyscy przed barakami - często na mrozie, zadymce lub deszczu, a liczenie nas, jeśli nie zgadzał się stan liczbowy w obozie, trwało nieraz godzinę lub dwie. Apel zarządzano rano i wieczorem.

Był 1 kwiecień 1945r. - Wielkanoc, wypadek mi dzień wolny i nie poszedłem na pierwszą zmianę do pracy. Był to gorący i piękny dzień. Postanowiłem z kolegą niedołą Nawrotem z Legionowa, że rano nie zjemy chleba i zrobimy sobie przed południem uroczyste śniadanie. Mieliśmy 5 litrowy kociołek, ugotowaliśmy wodę na ognisku i wrzuciliśmy dwa kawałki chleba. Mieliśmy gotową zupę chlebową.

Tymczasem w kwietniu 1945r. na terenie obozu rozpoczął działalność zespół oficerów śledczych NKWD. Posiadali pełne informacje o każdym z nas. Odbywały się przesłuchania a prawdopodobnie i selekcje. Ja również zostałem wezwany na przesłuchanie. Okazało się, że oficer NKWD miał przed sobą dokumenty mojego imiennika - również Szpigielowa Kornackiego, mieszkającego przy tej samej ulicy, ale starszego ode mnie - sprawa wyjaśniła się bowiem imiona rodziców nie zgadzały się. W czasie przesłuchania nie przyznałem się do przynależności do AK. Przesłuchujący mnie oficer nie wymuszał przyznania się - prawdopodobnie uznał zaistniały fakt jako pomyłkę.

Rewidowano nas raz na dwa miesiące. Zarządzano wówczas apel specjalny, wychodziliśmy przed barak i ustawialiśmy się w kilku rzędach do rewizji. W tym czasie specjalny zespół przeszukiwał baraki. Idąc do pracy kilka kilometrów, ledwo szedłem z wycieńczenia - z wysiłkiem szwiganiem nogi, które najbardziej mnie bolały w udach i w łydkach. Zabijani byliśmy powoli przez ciężką pracę i głód. W obozie szachtowym jeńców niemieckich zostało niewiele, ale latami ich liczbę zwiększyli wzięci do niewoli oficerowie niemieccy z armii walczącej w Kurlandii.

Pracowałem na tokarni, która mieściła się w starej szopie - wykonywałem różne elementy i ledwo utrzymywałem się na nogach, taki byłem wygłodzony. Długo w których przyjechałem do obozu wydmienkiem na 200 chleba i drewniaki, w których chodziłem do końca pobytu w obozie. Gdy pierwszy raz spuchłem z głodu nie nadawałem się do pracy na tokarni - kazano mi wówczas przez kilka tygodni gwintować długie śruby tąpą narzynką.

Obóz w którym przebywałem był położony ok. 10km. od miasta Borowicze w pobliżu rzeki Nisty. Znajdował się na pustkowiu. Obóz ten był silnie strzeżony - otoczony kilkoma rzędami drutów. Druty środkowe były pod napięciem. Praktycznie z terenu obozu próby ucieczki były niemożliwe i wobec tego próbowano ucieczek z terenu kopalni węgla, ale kończyło się to tragicznie. Po dwóch, trzech dniach uciekinierzy chwytani byli i rozstrzelani, a ich zwłoki przywożono pod bramę obozową jako ostrzeżenie dla innych.

Popadałem często w apatię. Nic mnie nie interesowało, rezygnacja i żadnej nadziei - myślałem tylko jak zdobyć coś do jedzenia, co było nieosiągalne. Życie obozowe stało się nie do zniesienia i wlekło się z dnia na dzień, często przeplatane tragediami osobistymi. Praca ponad siły, choroby oraz głód zbierało hojne żniwo. Ludzie ginęli z wycieńczenia, odchodzili na zawsze koledzy i znajomi. Nie myślałem się, kładliśmy się spać na gołych deskach i wobec tego nikt się nie rozbierał, wszy i szczyry doprowadziły do wybuchu epidemii tyfusu i krawej dezenterii. Same ciała miałem pocięte przez robactwo. Ze względu na bardzo dużą śmiertelność władze obozowe zdecydowały się na przeprowadzenie jednorazowego szczepienia. Szczepienia odbywały się w barakach. Ustawialiśmy się wszyscy w rzędach. Każda z pielęgniarek robiąca zastrzyki miała przed sobą niedźwież wypelnioną szczepionką. Pielęgniarki nie zmieniały igieł, zastrzyki były robione tą samą igłą bez jakiegokolwiek mycia nie mówiąc już o braku sterylizacji.

Byliśmy odizolowani od świata, nie dawano nam gazet - nie wiedzieliśmy co się dzieje na świecie. Bardziej wtajemniczeni, twierdzili, że obóz jest zakonspirowany i jeżeli sytuacja na frontach będzie dla

SSER - niepomyślna możemy być zlikwidowani. Doskwierał nam straszny głód. W czasie pracy na nocnej zmianie robię z kolegą niedoli z Goszczyńskim pierwszy i ostatni wypad przez druty na pobliskie pole kołchozowe - na ziemniaki. Noc była księżycowa. Gdy wracaliśmy po kilku minutach z kilkoma ziemniakami-Goszczyński został śmiertelnie postrzelony w głowę przez konwojenta. Konwojenci zarządzili wówczas zbiórkę i powrót do obozu. Mieśliśmy na barkach śmiertelnie rannego kolegę, który po drodze zmarł. NKWDziści zmuszali nas wówczas do Śpiewu aby zagłuszyć jakiś konającego. Pewnego razu znalazłem na drodze trochę kości, wrzuciłem je do puszki i opiekłem. Po wypiciu zimnej wody spuch mi niesamowicie brzuch i dostekiem strasznych bóli. Silne torsje uwolniły mnie od nieszczęścia. Byłem chory - odczuwałem silne bóle głowy na granicy wytrzymałości. Uformował mi się duży wrzód w okolicy czoła i wówczas dr. Sergiusz Hornowski w prymitywnych warunkach zrobił mi zabieg chirurgiczny, ale za kilkanaście dni wrzód uformował się ponownie. Po kilku dniach poczułem się lepiej i poszedłem do pracy.

Po pracy mieliśmy obowiązek przez okres co najmniej trzech miesięcy, wyciągać z rzeki olbrzymie kłocę, aby je przenieść na odległość ok. 2 km. na składowisko. Przenoszenie tych kłocę było ponad ludzkie siły i miało na celu dalsze wyniszczenie ludzi. Tak minęło lato i jesień, rozpoczęła się mroźna zima. Miałem wolny dzień, pozostałem w baraku i uczestniczyłem w transportowaniu zwłok kolegów z obozu. Podciągaliśmy wóz pod piwnicę, wyciągaliśmy zwłoki/bez odzieży / i ładowaliśmy je jak kłocę. Po załadowaniu ok. 20 cięż pchaliśmy wóz za bramę obozową w asyście konwojenta. Zwłoki rozkładowaliśmy na obozem na polu i nakrywaliśmy grubą warstwą śniegu. W nocy słychać było tylko wycie grasujących w okolicy wilków żerujących przy składowisku trupów. Nie widziałem trupa wynoszonego w jakimkolwiek ubraniu. Zdzierano z nich wszystko przed wywiezieniem. Trudno podać mi liczbę tych, którzy z głodu, przemęczenia i mrozu zmarli w obozie - a zmarło dużo. Niemal wszyscy robiliśmy wrażenie kościotrupów, wyczerpanych do ostatnich granic. Własną krwią karmiłem wozy i pluskwy obozowe. Umierać było szkoda, gdy miało się taki skarb jak młodość, a marzeniem było choć zjeść kawałek chleba przed śmiercią. Byłem bardzo wyczerpany fizycznie. Nie mogłem chodzić ani stać - postanowiłem się okaleczyć. Miałem wielką wolę przeżycia, ale sytuacja stała się nie do zniesienia.

Kończył się rok 1945 - drugie Boże Narodzenie spędziłem w obozie. Był dzień wigilijny, z pracy wróciłem w nocy głodny i zmęczony poszedłem spać - prosząc Boga o przetrwanie. Wadszedł wreszcie rok 1946 - zima ostra, śniegu wiele a życie obozowe wlekkło się nadal, w baraku zimno i straszny zaduch. Prycze zbite były luźno z desek i każde poruszanie się na wyższych stopniach powodowało sypanie się piasku na tych, co leżeli niżej. Nawet głodowe racje żywnościowe spożywane były na brudnych i zapiaszczonych pryzkach - żyliśmy i jedliśmy jak psy. Gdy wracaliśmy z pracy w porze nocnej w czasie rozdziału wodnistej zupy z wiaderka - oświetlaliśmy sobie miejsce przy pomocy palącego kuczywa. Pluskwy opadające z sufitu często wpadały do wiaderka z zupą lub nawet do naszych puszek po konserwach. Z pośpiechu i głodu nikt z nas nie zwracał uwagi na taki drobiazg.

W lutym 1946r. doszły do nas wieści, że mamy być odesłani do kraju. Byłem na pierwszej liście do wyjazdu. Zaprowadzili nas po raz pierwszy do tzw. bani - otrzymałem 3 litry ciepłej wody i kawałek mydła. Po wyrzuceniu starej zawszonej odzieży i drewniaków-dostałem czysty mundur niemiecki, płaszcz rosyjski, kamazę na gumie i czapkę z gwiazdą z okresu pierwszej wojny światowej. Wówczas utwierdziłem się w przekonaniu, że odwożą nas do kraju. Jednak nie dane mi było wrócić. Po wyjściu z bani bardzo przemarzałem. Na drugi dzień reno

9

byłem nieprzytomny. Nie mogłem oddychać, majeczyłem. Wysoka temperatura i zapalenie płuc - stwierdził polski lekarz dr. S. Hornowski. Leżałem na pryczy i piłem tylko ciepłą wodę. Dr. Hornowski otaczał mnie opieką i starał się udzielić mi pomocy wzywając nawet rosyjską lekarzkę, która niewiele pomogła - nie mając leków, decydując tylko, że w tym stanie nie pojedę do kraju. W dniu następnym nastąpiło rozstanie z grupą Polaków odjeżdżających do kraju. Tymczasem przyszło po mnie trzech jeńców niemieckich, wsadzili mnie na sanki i zawieźli do obozu niemieckiego. Strasznie płakałem i prosiłem, by zawieźli mnie do pociągu, bo jeśli w drodze umrę, to przynajmniej moje ciało zostanie w kraju. Niemcy otaczali mnie opieką i dzięki temu powoli wracałem do zdrowia. Poinformowali mnie, że za kilka dni drugi transport Polaków odjedzie do Polski, ale ja tymczasem nadal pozostałem w obozie z Niemcami. Minął prawie miesiąc osamotnienia i już odjeżdżał ostatni transport Polaków do kraju z tego terenu. Niemcy radzili mi, abym poszedł do komendanta ich obozu i przypomniał, że jestem Polakiem. Komendant obiecał mi, że wyjadę tego samego dnia. Tymczasem zbliżał się wieczór, a ja jeszcze byłem w obozie. Dowiedziałem się od Niemców, że pociąg towarowy został przygotowany do odjazdu i że ostatnia grupa Polaków dociera do pociągu. Poszedłem

ponownie do komendanta, który - będąc najwidoczniej w złym humorze - odpowiedział mi, że zdechnę w tym obozie i nie wrócę do kraju. Ogarnęła mnie straszna rozpacz. Zapadł już mrok, byłem bardzo zmęczony, wszedłem do pobliskiego baraku i zasnąłem na pryczy.

W nocy usłyszałem przez sen wołanie - gdzie jest polski pan? Ktoś mnie poruszył za nogę - wstawaj pan i chodź. Nie dowierzałem własnym oczom. Zostałem wyprowadzony za teren obozu przez NKWDzistę z karabinem. Byłem pełen napięcia i poprostu bałem się, gdyż nie wiedziałem co mnie czeka. Uspokoilem się dopiero, gdy dotarłem, po dwóch godzinach, do stojącego pociągu towarowego, który w krótko odjeżdżał do Polski.

Po osiemnastomiesięcznej męczarni opuściłem kraj mojej katorgi. Zegnałem Rosję i dziękowałem Bogu, że nie zostałem w jej ziemi. Po przekroczeniu linii Bugu wszyscy w wagonie płakali - było to unośnienie - jak gdyby wracali z za grobu. Po przyjeździe do Białej Podlaski przez godzinę lub dwie czekaliśmy w wagonach na przyjeście przez stronę polską. Ktoś z zewnątrz krzyknął, że wracamy do Rosji, wówczas ze strachu w gorączkowym pośpiechu rozbiliśmy drzwi - opuszczając wagon i uciekliśmy w kierunku miasta. Obserwując z ukrycia doszliśmy do wniosku, że o powrocie do Rosji nie ma mowy i pojedynczo wracaliśmy na dworzec do punktu zbiorczego, gdzie po zrobieniu zdjęć legitymacyjnych, przedstawiciele Urzędu Bezpieczeństwa wydawali nam zaświadczenia o powrocie z ZSRR. Otrzymałem zaświadczenie 8475.

Szczeniwi byłem, że już jestem w kraju. Tymczasem matka moja oczekiwała na mnie, ponieważ wracali do domów z pierwszego transportu, wypytywała się o mnie tych, którzy wrócili. Jedni widzieli, jak odłączali mnie od transportu i jak wieźli mnie na sankach jeńcy niemieccy. Znaleźli się i tacy, którzy prawdę mówili o moim stanie beznadziejnym - wprost agonialnym. Jednak matka wierzyła w mój szczęśliwy powrót. Do domu wróciłem w marcu 1946r. i tym samym skończył się okres osiemnastomiesięcznej katorgi - okres zmarnowanej młodości - pozostała tylko udreka z dokuczliwymi chorobami. Gdy znalazłem się na dworcu kolejki Mareckiej przy ul. Stalowej, która odjeżdżała do Radzimina - wszedłem do wagonu dla młodzieży szkolnej i wówczas ujrzałem kilku swoich kolegów ze szkoły, którzy teraz byli licealistami. Na ich widok serce zamarło mi z wrażenia -

- uprzytomilem sobie jaka przepaść wytworzyła się między nami
- w ciągu tego okresu. Ja wynędzniałym w mundurze niemieckim, w płaszczu
rosyjskim i w czapce z gwiazdą z okesu pierwszej wojny światowej
i zrezygnowany, oni zaś radośni, zdrowi i schludnie ubrani.

Wspomnienia te poświęcam swojej rodzinie.

Warszawa - 1989r.

Zbigniew Kornecki.

Zbigniew Kornecki

II/2029

Zbigniew Komacki
ul. 884 warszawa
ul. wielowiejska 28
tel. 610-77-48

Powoty do wykonyw. str. 3
II/2029 [całe wspomnienie]

Arrestowano mnie w październiku 1945r. i następnie
zestany do obozu NKWD w Białymostku. Do kraju wróciłem
w marcu 1946r.

- Nie mogę zapamiętać osobistego dnia, kiedy to na skutek
nagłej choroby (zapalenie płuc) odjechałem z transportem
polskich wyjeżdżających do kraju z obozu w Białymostku w lutym 1946r.
płytkami, wyjeżdżających do kraju z obozu w Białymostku, w lutym 1946r.
płytkami, przychodzący po mnie trzech jeńców niemieckich wsadziłem mnie na
sanki i wiozę do obozu niemieckiego. Strasznie płacząc i prosząc by
zawieźli mnie do rodziny, bo jeśli umrę w drodze to przynajmniej
moje ciało zostanie w kraju.
Niemcy otoczyli mnie szczególną opieką i pozwolili wrócić do zdrowia.
Miałem prawie nadzieję oswojenia, Niemcy mówili mi, że za kilka
godzin ostatni powóz z tego terenu odjedzie do kraju - a ja nadal
w obozie z niemieckimi. Rozpocząłem dzień z wyjątkiem, gdyż
zyskaniem się do komendanta obozu i mówię, że jestem polakiem,
który został odjeżdżający do kraju - stąd odpowiedź,
że zdecydował i nie wrócić już do kraju. Ogarnięcie mnie strasznie wpadło
i wychodzę. Jestem zmęczony i rozpaczony, wchodzę do pobliskiego
baraku i zasypiam na piachu. O północy stąd przeszedłem -
gdzie jest polski pan, ktoś mnie rzuca za nogę - wstawę pan
i chodź. Nie dowierzam, wstaję ocieram. Zostaje wyprowadzony
z terenu obozu przez NKWD i z karabinem i w ciągu 2ch godzin
byłem już w transporcie z polakami odprowadzonymi do kraju.

- Po przekroczeniu granicy polskiej wszyscy w wagonie śpiali i
gdy otworzyliśmy przewoźnego polaka na ziemi oparyskiej - było to
wówczas jak gdybyśmy wzięli zęby
Po przyjeździe do Warszawy wygodnym wredtem do
najbliższego sklepu sprzywającego przy ul. Targowej i kupiłem sobie
pół kilograma cukru, który był w tym czasie w obozie,
i mój zostanie mi to odebrano.
Gdy znalazłem się na dworze kolejki Młoczeńskiej przy ul.
Szelągowej, która odjechała do Radymina (wówczas zamieszkała rodziną)
- w środku do wagonu przewoźnego dla młodzieży szkolnej
i wówczas wsiadłem kilku swoich kolegów ze szkoły zawodowej,
który teraz byli licealistami. Na ich widok serce zamrtało
mi z wiarą - uprzytomiliłem sobie jakie przeżycie
wytworzyłem się, między nami w ciągu tego obozu.
Ja wyprzedziłem w mundurze niemieckim w trakcie rozsyłania
i w rapcie z gwiazdą z obrotu przewoźnej wony szkolnej
i weryfikowaliśmy, oni zaś radzili, zdrowi i schudnięci obozowi.

- Byłem szczęśliwy, że jestem już w kraju i dlatego starałem
opisać kraj mojej kategorii - zemanem Rostę i dźwiękami
Bożę, że mi wróciłem w jej dzień. Tym samym (konkretnie)
okres osiemnastoletniej kategorii - okres zamieszkania
młodzieży powstanej tylko uderzył z doświadczenia chwytliwym
piew całej dotychczasowej życia. Dokładnie mi nadal
chwytliwym ulitodus kręgiem i kręgiem i wzmocnieniu tej stopnie
wiodły zotadko i dwunastu.

- Nie mogę pamiętać się tych wszystkich przykrych wspomnień
z okresu polityki w obozie i stąd to było nadzwyczajnie na
dużo więcej. -

W-wa, dnia 25-01-93r.

© ARCHIWUM
Kopie